

made

WARMIA & MAZURY

in

Grzegorz Gromek

*Film, jak każda sztuka,
jest odbiciem rzeczywistości*

Ryszard Szmit

*Nagrałem półtora tys.
utworów, a w domu
nie słucham muzyki*

Mikołaj Kopernik

*Za co Warmia powinna
dziękować astronomowi*

Tomasz Szymuś

Nuta sentymentu





Nuta sentymentu

TOMASZ SZYMUŚ

Spotykamy się w jego domu pod Reszlem, z którego roztacza się spektakularny widok na jezioro Legińskie. Kiedy może, ucieka tu z rodziną przed zgiełkiem stolicy, tworzy muzykę, choćby do widowiska „Pora jeziora” wystawionego w olsztyńskiej filharmonii. Tomasz Szymuś, pochodzący z Bartoszyca aranżer, kompozytor, wykładowca UWM i dyrygent znany m.in. z telewizyjnych programów rozrywkowych przyznaje, że nie odciał „pępowiny”. Choć od ponad 20 lat mieszka w Warszawie, nadal jeździ samochodem na bartoszyckich „blachach”. A co mu w duszy gra?

MADE IN: Jaki masz dzwonek w telefonie?

Tomasz Szymuś: Nic wyszukanego, podstawowy dźwięk. Ale na studiach dorabiałem sobie tworząc pierwsze dzwonki do starych modeli telefonów. Sto różnych melodii po kilkanaście sekund. Inspirację czerpałem i z muzyki klasycznej, jazzu i rapu.

To była twoja pierwsza muzyczna fucha?

Pierwsze pieniądze zarabiałem już w podstawówce. Popołudniami uczyłem się w szkole muzycznej w Olsztynie i mieszkalem w internacie. Stworzyliśmy z kumplami trio, graliśmy w restauracji Staromiejskiej, ja na fortepianie. Potem w liceum, w latach 90., jeździliśmy podczas wakacji autobusem do Paryża, Hamburga. Tam grałem na ulicy i w metrze na akordeonie.



Na co zbieraliście?

Na wymarzone instrumenty. Pamiętam, że zarobiłem na syntezator, który w Niemczech kosztował 3,3 tys. marek. Oczywiście przy wielu wyrzeczeniach: mieszkaliśmy w arabskiej biednej dzielnicy, jedliśmy najtańsze produkty. Dopiero w tym roku, po 25 latach, zabrałem żonę Dagnę do Paryża, żeby pokazać, w jakich miejscach mieszkałem i grałem. Była lekko przerażona.

Graliście w metrze klasykę?

Muzyka klasyczna to moja baza, której uczyłem się przez wiele lat. Klasyka jest jak rozgrzewka dla sportowca.

I tak jak sport uczy wytrwałości?

Mój pomysł jest taki, żeby szkoła muzyczna pierwszego stopnia była obowiązkowa dla wszystkich. Uczy systematyczności, daje fundament na przyszłość. Dzieci umuzykalnione są wrażliwsze, a zatem kreatywniejsze. Byłem niedawno w Japonii i tam wszystkie dzieci są kształcone muzycznie od pokoleń. Podczas koncertów w ośmiu szkołach – od podstawówki do liceum – wszystkie śpiewały czysto. Nie wspominając o ich kulturze bycia, dyscyplinie itp.

W Polsce nie ma mody na śpiewanie w chórach czy rodzinne muzykowanie.

Ja to wyniosłem z domu i kontynuuję w swojej rodzinie. Nawet kiedy mamy złożyć życzenia przez telefon, otwieramy fortepian i śpiewamy z żoną i dziećmi „Sto lat” na kilka głosów. Sztuka uczy nawyków, przez co ma ogromny wpływ na pozostałe dziedziny życia. Przykładem są moi koledzy, z którymi się uczyłem. Część z nich nie poszła na Akademię Muzyczną, tylko wybrała inne zawody. Odnieśli sukcesy w swoich

dziedzinach: inżynierii, biologii, matematyce. Zgodnie twierdzą, że to wszystko zawdzięczają szkole muzycznej.

A ty od kiedy wiedziałeś, że chcesz związać swoje życie z muzyką?

Tak konkretnie, to od liceum. Większość dzieci nie wie, kim chcą być w dorosłości. Ja wiedziałem że chcę „robić” w muzyce rozrywkowej. Nasiąkałem dobrymi dźwiękami w domu rodzinnym, mama jest emerytowaną nauczycielką muzyki, tato muzycznym samoukiem. Moimi pierwszymi idolami byli Marek i Wacek – fortepianowy duet, którego słuchałem na płytach winylowych. Ale podczas egzaminów do szkoły muzycznej stwierdzono, że mam dobre warunki fizyczne na instrument dęty i przydzielono mnie na obój. Nawet nie wiedziałem wtedy jak wygląda ten instrument.

Nie dawano wam wyboru?

Wówczas nie za bardzo, zresztą na najbardziej popularny fortepian czy gitarę było za dużo chętnych. Ale opanowanie obu przydało mi się przy późniejszym komponowaniu muzyki na instrumenty dęte. Śpiewałem też w chórach, m.in. w Collegium Musicum, Collegium Canticum co dało mi umiejętność słuchania dźwięków wypełniających współbrzmienia. To pomaga dzisiaj w rozpisywaniu instrumentów smyczkowych w orkiestrze, które były zbudowane na wzór głosów ludzkich.

Słuchasz muzyki inaczej niż zwykły człowiek.

Nawet oglądając film rozkładałam ją na czynniki pierwsze, interesuje mnie jakich technik użył kompozytor. Na ukojenie nerwów potrzebuję obrazu, nie dźwięku. Muzyka pod każdym względem mnie absorbuje. Jeśli włączę ją leżąc w łóżku, nie ma mowy o spaniu, zbyt mocno się wtedy skupiam, analizuję.

Jaką drogę przebyłeś, żeby trafić na największe polskie sceny?

Studia kompozycji i aranżacji w Katowicach otworzyły mi drogę do świata estrady, a akompaniament w teatrze do musicali. Jeden z producentów teatralnych organizował festiwal w Sopotcie – wówczas TOP Trendy. Potrzebował orkiestry i kogoś, kto napisze aranżacje, porozmawia z artystami. Widział, że takie rzeczy potrafię zorganizować na deskach teatru, więc zaproponował mi to. To był mój pierwszy duży koncert jednocześnie z dyrygowaniem i ze złożeniem orkiestry. Od tej pory co roku aranżuję i dyryguję różnymi festiwalami. 95 proc. utworów, które dyryguję, sam aranżuję lub komponuję. Policzylem, że mam na koncie ponad pięć tys. aranżacji. Utwór, który trwa pięć minut, rozpisuję na orkiestrę średnio dwa dni.

Ile czasu zajmuje napisanie musicalu?

Okolo pół roku. To techniczna, żmudna praca, nie czekam na jakąś wenę, uniesienie. Zamykam się w wyciszonym pokoju naszego mieszkania na warszawskim Ursynowie i piszę przez kilka godzin dziennie, czasem zarywam nocki. Kiedy dzieci były małe, pisałem „blokami”. Wstawałem o godz. 5 i pisałem do godz. 8, dopóki nie zaczynała się poranna krzątanina. Bywają dni, że nie jestem w stanie wycisnąć z siebie nuty. Samodyscyplina jest najważniejszą umiejętnością w moim przypadku, została mi od czasów internatu w Olsztynie. Wstawałem tam skoro świt, aby zdążyć z nauką w szkole i ćwiczeniem na instrumencie. Jeśli nie brałem codziennie oboju do ręki, momentalnie traciłem kondycję.

Zabierasz czasem swoją robotę na Warmię?

Podczas pandemii uciekliśmy z rodziną tutaj, do naszego wakacyjnego domu. Otwarta przestrzeń dała nam wszystkim poczucie wolności, gdy w Warszawie trwało prawdziwe szaleństwo, kolejki do sklepów itp. Czytałem tu „Sagę Warmińską” Edwarda Cyfusa, kiedy zadzwonił telefon z propozycją udziału w tworzeniu musicalu „Pora jeziora” dla olsztyńskiej filharmonii.

Spojrzałeś na jezioro i zacząłeś pisać muzykę?

Pisząc, sięgam głównie do swojej wyobraźni, ale w Leginach mimowolnie uciekam wzrokiem do niezwykłego widoku, który mam za oknem pracowni. W musicalu pojawia się np. rzeka Sajna wypływająca z tutejszego jeziora. Teksty Ałbeny Grabowskiej i Daniela Wyszogrodzkiego same mnie poprowadziły. Pisałem tu sercem, dałem upust swoim sentymentom, którymi darzę Warmię i Mazury. Ten musical to nasz towar eksportowy, nieskromnie powiem, że jest na światowym poziomie. Muzycy uwielbiają go grać, a widownia jest zawsze pełna.

Od kiedy masz ten azyl na Warmii?

To miejsce znam jeszcze z dzieciństwa. Podczas wakacji odwiedzaliśmy się nawzajem z przyjaciółmi ze szkoły. Koleżanka z Reszla, u której gościliśmy, zabrała nas na wycieczkę rowerową nad to jezioro. Zobaczyłem otaczające go wzgórze pokryte kwitnącymi makami i pomyślałem: „chciałbym żeby to było moje miejsce”. Po latach właścicielka ziemi zadzwoniła do mnie, że chce ją sprzedać. Siedem lat temu wybudowaliśmy tu wiejski dom, który jest naszym azylem od zgiełku





”

„Kiedy przyjeżdżam do naszego domu na wsi pod Reszlem, zaczynam reset od rąbania drewna. Potem biorę się za pisanie muzyki. Ciągnie mnie tutaj, dlatego emeryturę spędzę na Warmii”.

stolicy. Rozrzucałem nasiona maku przez kilka sezonów, ale oczyszczona z chaszczy ziemia, na której posadziliśmy trawę, chyba mści się, bo kwiatów ani śladu. Kiedy tu przyjeżdżam, zaczynam reset od prostych czynności, jak rąbanie drewna. Potem biorę się za pisanie muzyki.

Mocno stoisz na ziemi jak na artystyczną duszę.

Z boku ktoś mógłby powiedzieć, że jestem pracusiem. Mam kolegów po fachu, którzy są mniej zdyscyplinowani. Tkwią w nałogach, hazardzie, chociaż jest tego coraz mniej, bo bezlitosny rynek eliminuje słabości. Ale zdarza się, że ktoś po zainkasowaniu 10 tys. zł za koncert, na drugi dzień chce pożyczyć na życie 500 zł. Ja mam z kolei taką przypadłość, że pozostaje mi niedosyt po skończonej pracy, wciąż chciałbym poprawiać swoje utwory. To jest efekt edukacji muzycznej aby nieustająco ćwiczyć, poprawiać wciąż dążyć do perfekcji.

To trudno ci cieszyć się sukcesem.

Trudno sobie samemu odpuścić. Odsłuchuję swoją muzykę i myślę: a mogłem bardziej „zróznicować”, podkreślić smyczkami mocniej te emocje, płacz aktorki na scenie.

To tak jak w przypadku wielu artystów malarzy, którzy wciąż chcą dodawać nowe akcenty na swoim obrazie.

Dwanaście dźwięków, którymi posługują się muzycy to nie jest nieskończoność.

Można jedynie szukać nowych kolorów, świeżych muzycznych kadrów. I mam wrażenie, że dobrej muzyki, która koi serce, jest po prostu coraz mniej. To co słychać w radio zazwyczaj ściąga człowieka w dół. Sztuczna inteligencja zmiecie część muzycznego rynku, również tekściarzy. To ogólnie trudne czasy dla muzyki, niewielki ułamek muzyków dobrze dzisiaj funkcjonuje. Uczą się latami gry na instrumencie, a zawód okazuje się mało płatny i prestiżowy. Powala też stres związany ze sceną czy internetowa krytyka. Trzeba mieć nie tylko talent, ale też odwagę, odporność i predyspozycje do występów publicznych.

W szkole muzycznej tego uczą?

Ja i moi koledzy z Grzechem Piotrowskim, Pawłem Zareckim, garnęliśmy się na scenę od czasów szkolnych. Co prawda w szkole muzycznej był „zimny wychów”, przy każdym egzaminie jedynie wytykano nam błędy, mimo że ocena końcowa była na piątkę. Ale dyrekcja pozwalała korzystać z wolnych sal szkolnych, abyśmy mogli dawać upust naszym rozrywkowym fascynacjom. Robiliśmy próby, improwizowaliśmy, odkrywaliśmy jazz. Moim pierwszym mentorem był Adam Śniadecki, świetny nauczyciel, który pracuje tam do dzisiaj. Dzięki niemu uczyłem się w szkole podwójnym torem – klasycznym i rozrywkowym. Mnie ciągnęło do fortepianu, więc uczyłem się go po godzinach.

Skąd braliście materiały do nauki muzyki rozrywkowej?

Nie było wtedy instrukcji na YouTube. Za to wszystkie podręczniki i nagrania, jakie wpadły nam w ręce, wnikliwie studiowaliśmy. Założyliśmy z Grzechem zespół Head Up, graliśmy w kortowskich klubach, w Okopie. To był taki elektryczny jazz/funk. Do dzisiaj mam nagrania na kasetach i przyznam, że wstydu nie ma. Kochałem szkołę muzyczną, pamiętam do dzisiaj jej zapach, klimat. Rano chodziłem do zwykłej podstawówki, gdzie nie czułem się komfortowo. Towarzystwo było mieszane, zawsze trafił się jakiś łobuz, a ja nie umiałem się bić. W szkole muzycznej był inny świat, można było pozwolić sobie na wrażliwość, bycie sobą.

Dzisiaj możesz pozwolić sobie na niezależność pracując w show-biznesie?

Wypracowałem sobie niezależność, choćby pod względem doboru muzyków do programów, w których biorę udział. Tomasz Szymuś Orkiestra, którą założyłem, skupia najlepszych polskich instrumentalistów, łączymy muzykę popularną z klasyką. Współpracuję z tymi, którzy na scenie nie znaleźli się przypadkiem. Dyrygent, aranżer czy kompozytor potrzebuje klasycznego wykształcenia. Natomiast w przypadku wokalisty wystarczy charyzma, świetny wokal, czujność. Przykładem jest Katarzyna Nosowska, która nie ma muzycznego wykształcenia, za to umiejętności i energię, która udziela się na scenie innym. Instrumentaliści, których słychać w filharmonii, muszą zaliczyć minimum 18 lat edukacji muzycznej.

Jakich cech potrzeba, aby ogarnąć kilkadziesiąt osób na scenie?

Trzeba umieć współpracować i rozwiązywać konflikty, dbać o dobrą atmosferę. Zamordyzm ze strony dyrygenta ją psuje, co przekłada się na jakość wykonania i odbiór przez publikę. Mam 80, czasem 120 obcych osób na scenie, przychodzę na próbę i muszę ich zmobilizować. Każdemu dać kartkę z nutami. To jest jak z drużyną piłkarską, musisz przygotować im dobrą taktykę. Muzycy klasyczni są zazwyczaj karni, punktualni. Ci od rozrywki – trochę gorzej. Kiedyś Mietek Szcześniak po próbie koncertu powiedział, że musi iść na chwilę do domu. Ale tam uciął sobie drzemkę i przespał występ. Podczas koncertu graliśmy wstęp do jego utworu nie wiedząc, że go nie ma w kulisach. Musieliśmy improwizować i na szybko okroić repertuar.

Zawsze masz plan B?

W programach telewizyjnych czy na scenie czas płynie inaczej. 15 sekund ciszy to wieczność, a dwugodzinny koncert odczuwam jak 20 minut. Skupienie jest ogromne. Kiedy coś się sypie, słyszę w słuchawce głos reżysera „grajcie coś!”. Kiedyś podczas koncertu Justyna Steczkowska zmieniała na scenie buty między utworami. Długie, sznurowane kozaki. Kończyliśmy grać wstęp, a buty ciągle były rozwiązywane, więc musieliśmy zmienić formę utworu, zapętlili wstęp, improwizować. Często muzycy siedzą w kanale, tylko ja widzę scenę i wiem co się dzieje. Nie ma wtedy czasu na stres, trzeba szybko reagować, synchronizować działania i wypełnić ten moment zawieszenia, aby publiczność nie odczuła zmiany planu. I to się udaje. Wniosek jest taki, że każdy szczegół trzeba wypróbować, żeby uniknąć niespodzianek. Ale graliśmy kiedyś podczas gali mistrzostw świata w turnieju szachowym. Otrzymałem informację, że po wręczeniu złotego pucharu grami fanfary, na które reagują pozostałe grupy artystyczne: aktorzy, tancerze, gimnastyczki, światło – czyli wielki finał. Widzę wręczających, brązowy puchar, srebrny puchar, złoty puchar, więc gramy głośno, energicznie, strzela konfetti, błyskają światła. Aż tu z końca widowni biegnie reżyser z informacją, że to dopiero pierwsza kategoria nagród i do finału jeszcze daleko. Wszystko zostało wystrzelone, odtańczone, tort podany, a to dopiero początek! Bawią mnie takie sytuacje po czasie, natomiast w trakcie jest wielka afera bez planu B.

W „Tańcu z gwiazdami”, którego jesteś kierownikiem muzycznym, też były wtopy?

Tancerze są jak muzycy – perfekcyjniści, dopracowujący każdy element. Dlatego świat byłby lepszy, gdyby każdy zaj-

mował się jakąś sztuką. Kiedyś tancerka zarzuciła mi po programie, że nie zagrałem muzycznego akcentu, w którym miała przygotowaną figurę. Okazało się, że podczas nagranej próby, niechcący spadł mikrofon i ten dźwięk odebrała jak owy akcent i przygotowała pod to choreografię. To niby drobiazg, ale w percepcji artysty kończy się świat w takich momentach.

Masz na koncie współpracę nawet z heavymetalowym zespołem Vader.

Z sentymentu nie odmawiam olsztyńskim znajomym, zawsze chętnie wracam odwiedzić stare zakątki. Nagrywałem m.in. z Czerwonym Tulipaniem, zespołem Harlem, olsztyńskimi chórami. W latach 90. zrobiłem dla Vadera intro na keyboardzie w olsztyńskim studio Ryszarda Szmita. Ale jak słucham heavy metalu muszę dochodzić do siebie pół dnia. Wiem, że ten ga-

tu. Muszą wiedzieć, jak wiele elementów składa się na sukces w tej dziedzinie i że nie wystarczą internetowe „lajki”.

Ani występ w programie muzycznym?

Zrobić po programie karierę udaje się jednemu na tysiąc. Głos to nie wszystko, media potrzebują intrygujących życiowych historii, naciskają aby wpuścić je do swojego życia. Nie każdy jest gotowy, aby być jak Michał Szpak. Kiedy zostałem kierownikiem muzycznym „X Faktora”, zadziwiła mnie jego otwartość na wszelkie pomysły producenckie, pomalowane paznokcie, dziwne kostiumy. Ale tą indywidualnością wygrał. Dzisiaj trzeba wyróżniać się z tłumu.



tunek ma wielu fanów, którzy potrzebują podbijania adrenalin. Mi przydaje się takie doświadczenie jedynie wtedy, kiedy muszę oddać moment dramatyczny w muzyce do spektaklu. Wtedy idą w ruch puzony, kotły, trąbki i gitary elektryczne.

Na UWM, gdzie wykładasz w Instytucie Muzyki, wygrałeś plebiscyt Belfer Roku. Za co studenci cenią twoje zajęcia?

Uczę komputerowej realizacji dźwięku, aranżacji, która pozwala tworzyć muzykę m.in. do gier komputerowych czy oprawy muzycznej mediów społecznościowych. Nie potrzeba do tego bandów, orkiestry. To sensowne i na czasie. Zajęcia robimy czasem w plenerze, nad jeziorem, na przystani. Opowiadam im, jak naprawdę wygląda życie muzyka, roztrząsamy razem ich życiowe rozterki związane z wykorzystaniem talen-

Albo obrać muzyczny kierunek, którego się nie czuje.

Bywa i tak. W repertuarze mega zdolnej Kayah najlepiej sprzedają się utwory z Goranem Bregovićem, chociaż stworzyła wiele ciekawszych muzycznie solowych projektów. Zbigniew Wodecki przez lata kojarzony był z „Pszczółką Mają” i „Chałupami”, a dopiero po jego śmierci odkrywamy pozostały, fenomenalny repertuar.

Na polskich uczelniach muzycznych kształcą się solistów. A ja próbuję wpoić studentom, aby tworzyli interdyscyplinarne grupy na bazie różnych dziedzin twórczości i łączyli się z biznesem.

Uczysz ich współpracować?

Łatwiej jest dzisiaj działać grupowo np. w świecie marketingu, reklamy. Jeden tworzy grafikę, film, drugi oprawę muzyczną. Na styku sztuki i biznesu są perspektywy. Zresztą łącząc różne talenty można wejść w każdą dziedzinę. Za moich czasów

wiedza na Akademii Muzycznej była zbyt napompowana i hermetyczna, dzisiaj trzeba zejść na ziemię, dopasować edukację do dynamicznych czasów. Wiele dałbym kiedyś, aby otrzymać praktyczną, życiową wiedzę od swoich mentorów.

Twoja wszechstronność muzyczna to wymóg czasów?

Wykonuję kilka zawodów jednocześnie: jestem aranżerem, dyrygentem i kompozytorem, czasem gram na instrumentach elektronicznych. Elastyczność daje więcej możliwości, pozwala złapać dystans. Ale ja wyniosłem z domu wiarę w siebie, umiejętność dostrzegania szklanki do połowy pełnej, to mi głównie pomaga w życiu. Czuję się szczęśliwy, że spełniam swoje chłopięce marzenia. Żyję z tego co kocham, doceniam to co mam, więc życie przynosi mi tego więcej. Tak to chyba działa.

Dlaczego masz bartoszycką rejestrację na samochodzie?

To chyba jeden z dowodów na to, że nie jestem w stanie odciąć „pępowiny”. W Warszawie mieszkam od 20 lat, ale nie opuszcza mnie wrażenie, że jestem tam chwilowo, że to



tylko pewien etap. Jadąc pociągiem ze stolicy, w okolicy Nidzicy, gdzie mijam pierwsze jezioro, czuję że jestem u siebie. Samochodem ta granica komfortu zaczyna się w okolicach Szczytna, Wielbarka. Kiedy przyjeżdżam na zajęcia na UWM, odwiedzam ulubione lokale w Olsztynie: kawiarnię Moja, Casablancę, Cudne Manowce. Na pierogi jeździmy z rodziną do Karczmy Berta w Świętej Lipce. Ciągnie mnie tutaj, dlatego emeryturę spędzę na Warmii.

Artystom trudno odchodzić na emeryturę.

Pewnie nie zrezygnuję z muzyki, ale mam też drugą pasję: żeglarstwo. Pływamy z sąsiadem katamaranem po jeziorze Legińskim i to są momenty, które skutecznie odcinają mnie od natłoku myśli. Potrafię w pełni cieszyć się wtedy chwilą, wiatrem, pejzażem. Na Warmii mam wszystko czego mi trzeba. Sąsiad dzieli się złowionymi rybami, jakich nigdy bym w Warszawie nie kupił. Niewiele trzeba, żeby żyć dobrze, a ja jestem minimalistą.

Nad czym teraz pracujesz?

Byłem w tym roku współtwórcą musicalu „Kopernik”, który w maju miał premierę we Fromborku. W tej chwili skracamy go, bo wyszedł nam aż 3,5-godzinny spektakl, który w październiku trafi na deski Opery Krakowskiej. Libretto Ałbeny



Grabowskiej i teksty piosenek Daniela Wyszogrodzkiego są pełne emocji, życia, zwrotów akcji. Taki tekst, scenariusz inspiruje, otwiera moją wyobraźnię. Moim niezrealizowanym jeszcze marzeniem jest napisanie muzyki do filmu. Uwielbiam dobre kino, niezależnych twórców jak Mel Gibson, Clint Eastwood. Ogromne wrażenie zrobił na mnie „Braveheart” czy „Gran Torino”, znam też na pamięć serię o Jamesie Bondzie. Czuję, że jestem gotowy na muzykę do dużej produkcji filmowej. Po latach pisania nut na przeróżne składy, obcowania z publicznością, wiem już jak wpłynąć na emocje odbiorcy i sprawić, by miał dreszcze.

Rozmawiała: Beata Waś

Obraz: Justyna Radzyńska / Camera Work Studio Warszawa